



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Barbara Paciorkiewicz

Kim jestem?

Zaświadczenie z Archiwum Państwowego w Łodzi stwierdza, że „Barbara Gajzler ur. 1 lub 2 lutego 1938 roku przebywała w Domu Dziecka przy ul. Przędzalnianej 66 w Łodzi od 21 lutego 1942 roku do 9 marca 1942 roku. Następnie została przeniesiona do Domu Dziecka przy ul. Lokatorskiej 12, a 27 maja 1942 roku przesłana do Bruczkowa. Stamtąd została wywieziona do III Rzeszy i przekazana rodzinie niemieckiej – Rossmann. W październiku 1947 roku została zidentyfikowana przez polskie władze repatriacyjne jako dziecko polskie”.

A co było przedtem? Z relacji babci Kossak (matki mojej matki) wiem, że urodziłam się 1 lutego 1938 roku w Gdyni, w domu, w którym moi rodzice mieszkali razem z rodzicami i rodzeństwem mojej matki. Z chwilą wybuchu II wojny światowej moja mama zmarła na zawał serca. Cała rodzina Kossaków została wysiedlona z Gdyni. Młodszych wysłano do obozów pracy na terenie III Rzeszy, a mnie z babcią i dziadkiem wywieziono do Łodzi, gdzie zamieszkaliśmy w jednym z przydzielonych nam pokoi w starej oficynie przy ulicy Lipowej. To z tego właśnie mieszkania Niemcy zabrali mnie w lutym 1942 roku do Domu Dziecka przy ul. Przędzalnianej, gdzie babcia miała mnie odwiedzać. Jednak po dwóch tygodniach już mnie tam nie zastała. Po wojnie zaczęła poszukiwania przez Polski Czerwony Krzyż. O tym wszystkim dowiedziałam się po powrocie do Polski.

Tymczasem ja bardzo dokładnie pamiętam swój życiorys od momentu, kiedy przebywałam w dużym domu, gdzie było sporo dzieci. Była tam duża sala z oknami i szerokim parapetem w kształcie półkola. Widzieliśmy stamtąd wielką łąkę. Dzieci były ciągle oglądane, badane, mierzone i karane. Jeżeli jedno się zmoczyło, lanie dostawały wszystkie, w myśl zasady – jeden za wszystkich i odwrotnie.

Pamiętam dzień, kiedy przyjechał jakiś pan, aby zabrać mnie do swojego domu. Byłam jak wszystkie dzieci bez włosów, w majteczkach i koszulce. Płakałam, bo nie chciano mi dać mojego białego futerka. Wówczas ten pan zawinął mnie w swoją marynarkę i tak pojechaliśmy do Lemgo, gdzie przywitały nas dwie kobiety, które na mój widok rozpląkały się razem ze mną. Wykapały mnie, nakarmiły i położyły do dziecięcego łóżeczka. Długo płakałam zanim zasnęłam. Kiedy się obudziłam miałam mamę, tatę i babcię. Wszyscy chodzili ze mną po domu i mówili: „Barbel – das ist die Tur, das ist das Fenster und das ist die Uhr” itd. Uczylałam się poprawnej mowy niemieckiej. Później dowiedziałam się, że była kiedyś dziewczynka o imieniu Ursel, która zmarła mając 9 lat. Jej portret wisiał w pokoju na ścianie i był dla mnie wzorem, gdyż miałam ją zastąpić. Nosilałam też jej rzeczy, ale nigdy jej nie dorównałam, mimo różnych kar i dyscypliny, jaka panowała w tym domu. Nigdy też nie przyszło mi do głowy, że to nie są moi prawdziwi rodzice i że nie jestem Barbel Rossmann.

Kim więc byłam? O tym, że nie jestem Niemką dowiedziałam się mając 10 lat. Zaczął się rok 1948. W domu panowała tajemnicza atmosfera. Prowadzone rozmowy urywały się na mój widok. Szykowano mnie do wyjazdu. Pewnego styczniowego dnia przyjechała po mnie kobieta w amerykańskim mundurze. Nieświadoma – byłam pewna, że jadę na wycieczkę, ale domownicy dziwnie żegnali mnie ze łzami w oczach. Później było małe miasteczko na południu Niemiec. Niewielka grupka dzieci mieszkała w małym pałacyku, w środku pięknego parku. Do nich dołączono i mnie. Chodziliśmy do magazynu UNRRA. Dziewczynki wybierały sobie sukienki, które im się podobały, lakierki i inne rzeczy do ubrania. Codziennie dostawałyśmy owoce południowe, których nie znałam, czekolady i cukierki. Musieliśmy jednak uczyć się intensywnie języka angielskiego, nawet przy posiłkach. W maju tego roku przesłano mnie z dwójkiem innych dzieci z tej grupy do Augustdorf. Umieszczono nas w obozie, gdzie były same baraki i ludzie różnej narodowości. Wszyscy czekali na transport do swojego kraju. Nam również powiedziano, że czekamy na pociąg do Polski. Kiedy dowiedziałam się, że z tej miejscowości jest blisko do Lemgo, udałam się na komendę i zadzwoniłam do domu. Zaraz też w najbliższą niedzielę odwiedzili mnie – ciągle jeszcze moi – rodzice, których już nigdy więcej nie miałam zobaczyć.

Na początku czerwca umieszczono nas w pociągu PCK. Był bardzo długi, a w wagonach znajdowały się łóżka piętrowe. Myślałam, że ta podróż nigdy się nie skończy. Często staliśmy całymi dniami w polu. Wreszcie dojechaliśmy do Katowic. Zielonymi samochodami z czerwonym krzyżem w białym kółku zawieziono nas do ośrodka PCK. Bagaże zostały zabrane do magazynu, a my czekaliśmy, aż ktoś po nas przyjedzie. Ale kto? Zgłaszali się rodzice ze łzami w oczach, zabierali swoje dzieci, a ja płakałam i im zazdrościłam. Czekał na mnie sierociniec widziany przez okno, prowadzony przez siostry zakonne. Już wiedziałam, że Barbara Gajzler jest sierotą. Choć mnie tak nazywali, ciągle byłam jeszcze Barbel Rossmann z Lemgo i długo nie mogłam oswoić się z tym nowym dla mnie nazwiskiem.

Doczekałam się wreszcie wujka. Nie znając go rzuciłam mu się w objęcia. Zaskoczony moją reakcją wujek chyba się wzruszył i poczęstował mnie bułką i wielkim serdelkiem. Po raz pierwszy w życiu jadłam trzymając w ręku cały serdelek, a w drugiej bułkę z masłem i do dzisiaj czuję ten smak, który mi się nigdy więcej nie powtórzył. Jednak rozmowa z wujkiem była trudna, choć uważał, że dobrze zna niemiecki. Był w obozie pracy w Niemczech, ale niewiele nauczył się tego języka. Mnie natomiast śmieszyła jego mowa, z której nic nie mogłam zrozumieć. Nie rozumiałam też co stało się z moim bagażem. Nie mając więc niczego, otrzymałam jakieś rzeczy w drewnianym kufunku z namalowanym wielkim czerwonym krzyżem i tak pojechaliśmy do Gdańska. Tam przywitała nas ciocia (siostra mojej niezującej matki) i dwie małe dziewczynki, dwu- i pięcioletnia. Po miesiącu urodził się jeszcze chłopiec i odtąd było nas razem z wujkiem i ciocią sześcioro.

Miasto w ruinach, stary dom bez wygod i wody, nieznaną język, same niespodzianki – raczej przykre – to był mój nowy świat i rodzina, którą dopiero poznałam. Wojna się skończyła, a ja poniewierałam się od jednej ciotki do drugiej. Wreszcie trafiłam do niechcianego Domu Dziecka. Ciągle myślałam, że to jakaś pomyłka, bo do niczego i nikogo nie mogłam się dopasować. Dzieci uważały, że jestem Niemką. W Gdańsku, gdzie po raz pierwszy poszłam do polskiej szkoły i zaczęłam uczyć się języka polskiego, na przerwach podczas zabawy dzieci wybierały mnie do koła i śpiewały: „stary Hitler mocno śpi”. Nie miałam im tego za złe, bo przecież w moim mniemaniu byłam Niemką i miałam rodziców w Lemgo. Byłam za mała, aby zrozumieć całą tę historię. Co ja też mogłam wówczas myśleć o swojej polskiej rodzinie? W swojej ojczyźnie byłam dzieckiem niechcianym, a powodem wszystkiego była wojna, która dla mnie trwała znacznie dłużej niż do maja 1945 roku. Ile to razy zadawałam sobie pytanie – gdzie jest moje miejsce na tej ziemi i kim właściwie jestem?

Taka wewnętrzna walka toczyła się we mnie od 10 roku życia. Będąc już dorosłą, po 18 latach znów znalazłam się w Lemgo, w rodzinie, do której tak tęskniłam. Miałam teraz okazję sama zdecydować kim chcę być. Te chwile rozterki i nieprzespane noce trudno opisać i chyba trudno zrozumieć, jeżeli się samemu tego nie przeżyło. Najtrudniejsze lata, kiedy najbardziej potrzebowałam matki, miałam już za sobą. Swoją Ojczyznę poznawałam w trudnych warunkach i właściwie sama musiałam sobie radzić z własnym losem. Mimo wszystko wybrałam Polskę...

Lata spędzone w Lemgo pozostały głęboko w sercu. Dzisiaj chętnie wracam do tego pięknego miasteczka i do ludzi, z którymi się związałam. Wracam jak do domu, ale już jako Polka. Polka, która wie gdzie jest jej miejsce i która chciałaby przekazać następnym pokoleniom historię dzieci polskich w czasie II wojny światowej. Bo przecież nie wszystkie miały to szczęście, by znaleźć się w rodzinie Rossmann. Pomimo to, nawet w tym przypadku Niemcom nie udało się germanizacja. Zniszczyła jednak psychikę dziecka, która jak ta złamana gałąź nigdy się nie zrośnie, nigdy nie odzyska równowagi...